







ilustracje: Iwona Chmielewska

– I tak nie będą świecić. – Jak zawsze, kiedy się zdenerwował, Arek usiłował wygładzić fałdy fartuszka, ale krzywo wszyty materiał marszczył się przy lamówce i tylko sztywna szkolna tarcza unosiła się jak tratwa na niebieskiej materii. – Jeszcze na nie za wcześnie.

– Jak to za wcześnie? – zezłościł się Tomek.

– Widzę okręty! – wykrzyknęła nagle Pippi. – Wielkie żagle, flagi z piracką czaszką! Chmury prochu ponad armatami!

Okno na parterze otworzyło się jeszcze szerzej i wychynęła z nich dama w siatkowym czepek na papilotach.

– Idźcie drzeć się gdzie indziej! – zawołała, ściągając pod szyję poły podomki z fioletowego stilonu. – I żeby jeszcze dziewczynka tak samopas latała, brudna i obdarta jak dzikus! Popatrz na siebie, dziecko! – Zwróciła się z odrazą do Pippi, która huštała się niedbale, wciąż zwisając głową w dół. – Co z ciebie wyrośnie, jak już teraz się chowasz z łobuzerką po krzakach?!

Pippi zakotyssała się energicznie, przekręciła wokół gałęzi i ześlizgnęła na grubszy konar.

– A myśli pani, że jeśli się bardziej postaram – zapytała – to też będę miała taką piękną fioletową podomkę w czarne kropki i siatkowy czepek na włosach? Kiedy, znaczy się, dorosnę?

Od strony baraczku dał się słyszeć przyjazny rechot. Panowie w beretach z antenką od dawna toczyli boje z mieszkańcami dwóch bloków, które ostatecznie powstały na miejscu osiedla, jakie dobre dwie dekady temu zaplanowano na nabrzeżnej skarpie. Niezalane fundamenty, przymy piachu i sterty kamieni porosły chaszczce, chociaż co jakiś czas kolejna ekipa pojawiała się i coś tam ryła pomiędzy łopianami, mieszała cement w betoniarkach albo nawet stawiała jakieś niskie murki, zanim znów nie zmieniła się koncepcja i nie przesunięto ich na jakiś inny, niecierpiący zwłoki odcinek. Niebawem o ich wysiłkach świadczyły jedynie świeże wykopy, które po pierwszych deszczach stawały się wylęgarnią kijanek i komarów, potłuczone cegły, pręty zbrojeniowe i blaszanki po chemikaliach, które natychmiast padały łupem dzieciarni.

Niekiedy ten czy inny smarkacz wbijał sobie w piętę zardzewiały gwóźdź albo łamał nogę w niezabezpieczonej studziencie, ale poza tym nic się przez lata wokół obu bloków nie zmieniało. Ich mieszkańcy, z braku innych możliwości, obarczali winą za ten stan rzeczy robotników z budowy i próbowali się nawet od nich





ilustracja: Patryk Mogilnicki

z przypinaniem go łańcuchem do betoniarki z tyłu domu. W pewien sposób był nam za to wdzięczny.

Tamtego popołudnia, gdy uciekł po raz ostatni, pojechaliśmy w kierunku zachodnim od domu wujka, wzdłuż rzeki na Klitkowice, na tartak, wąską ścieżką przy lesie, przy której stał dom Rębałów. Rębałowie palili kradzionym drewnem i kradli prąd, wokół ich domu stały porzucone części rolniczych maszyn, samochodów i rowerów, cała masa żelastwa. Nikt z nimi specjalnie nie rozmawiał, każda interakcja z nimi rodziła problemy, mówili niewyraźnie, odwracali głowę, przy dłuższej rozmowie odwracali się w drugą stronę i biegli do domu, jakby ktoś zaraz miał rzucić w nich kamieniem. Czuli się zagrożeni, mali i chudzi, wszyscy: Rębała, Rębałowa i trójka małych Rębałów, zamknięci w swojej małej chałupie, jakby ze strony miasta bądź od tartaku miało przyjść nieokreślone wojsko, zabrać ich stamtąd i zamknąć w jakimś strasznym miejscu, w którym już nie będzie można kraść drewna, znosić żelastwa i układać jedno i drugie wokół domu w beładne sterty. Ale doszliśmy do wniosku, że zapytamy ich, czy widzieli Szarika. Nigdy nikogo nie pytaliśmy, bo czuliśmy, że nie ma takiej potrzeby, że on zaraz się zjawi, że sam do nas przybiegnie, ale tym razem, w ten duszny, gęsty dzień, zatykający nos piachem, kurzem i pyłkami niezliczonych roślin, bzyczący od owadów, w dzień jak wielki, ciepły talerz pełen zupy z zielska, mieliśmy przecucie, że nie będzie łatwo.

Przed domem stał średni Rębała. Miał piętnaście lat, ale wyglądał na młodszego od nas i, generalnie, gdyby trzeba było, sam bym mu wpierdolił. Ale nigdy nie było takiej potrzeby.

– Widziałeś Szarika? Psa? Owczarka? – zapytaliśmy go, gdy on patrzył na nas spode łba, przestępując z nogi na nogę i dłubiąc w nosie, w rozwiązanych piłkarskich korkach. W rzadkich i płowych włosach na jego wielkiej głowie było mnóstwo trawy, jakby przed chwilą tarzał się po ziemi.

– Widziałem – powiedział po chwili. – Waszego psa, tego jak z „Czterech pancernych”.

– Gdzie pobiegł? – zapytał mój kuzyn i wstał z roweru, gotowy do przepytывania Rębały nie tylko za pomocą słów. Rębała cofnął się o krok i już czułem, że chce uciec, więc dałem znak ręką, aby mój kuzyn wrócił na rower.

– Tam, gdzie jedziecie, przebiegł obok kur, nawet nie popatrzył się na nie – powiedział Rębała. – Jakby coś gonił innego.





ilustracje: Kama Sokolnicka

wszystkich pokojach porozkładane skóry z polarnych niedźwiedzi jako dywany. Miała też baletnicę – sukienkę z różowego tiulu, która wisiała w szafie jej mamy i którą Aneta Kiszka pokazywała, gdy się ją poprosiło.

Ale teraz poszła. Babcia Anety nalała im „Ptysia”. U Ani Miszczyk „Ptysia” piło się na urodziny i w święta, ale nie dlatego, że rodziców nie było stać, tylko dlatego, że na co dzień pili herbatę, a w niedzielę kompot. Po prostu. Wypiły „Ptysia”, odstawiły szklanki i poszły do szafy mamy Anety Kiszki. Ania Miszczyk szła zygzakiem, żeby bosymi stopami zahaczyć o jak największą liczbę niedźwiedzi skór.

– Aneta, masz może tygodnik „Antena”? – spytała po drodze.

Okazało się, że w domu Anety Kiszki tygodnik „Antena” był po przeczytaniu wyrzucany. Aneta poradziła Ani Miszczyk, żeby kupiła gazetę w kiosku.

– Kiedy nie mam pieniędzy – powiedziała Ania Miszczyk, zdziwiona, ale Aneta była jeszcze bardziej zdziwiona tym, co powiedziała Ania. Bez słowa wzięła ją za rękę i zaprowadziła do komórki pod gankiem. Ania Miszczyk nie lubiła komórek pod gankiem ani pod tarasem. U niej w domu przechowywało się w takiej komórce kartofle i zawsze, ilekroć mama wyszła pod taras, wracając, mówiła do taty albo do babci:

– Zobacz, czy nie mam na sobie pająka.

I wtedy tata albo babcia zdejmowali z mamy pająka, a Ania Miszczyk zastanawiała się, czy w ogóle przeżyłaby taki moment zdejmowania pająka z niej samej.

Poszły więc z Anetą do komórki pod gankiem, a tam Aneta wyjęła portfel i dała Ani Miszczyk banknot. Miała jeszcze co najmniej osiem takich samych, więc po namyśle Ania Miszczyk podziękowała Anecie Kiszce i schowała pieniądze do kieszeni.

Następnego dnia siedziała w ogródku przed swoim domem. Babcia wystawiła wagę i skrzynkę z pomidorami i Ani Miszczyk udało się ją uprosić, żeby pozwoliła jej posprzedawać, zanim pójdzie do szkoły. Ale u wylotu ulicy pojawił się samochód kioskarki, więc Ania zerwała się i pobiegła. Kioskarka nosiła ciemne okulary, za prawym szkłem ledwo mieściła się ogromna narośl na powiece. Właściwie nie dotyczyła ona powieki, tylko odnosiła się do całego prawego oczodołu. Ania Miszczyk starała się, rozmawiając z kioskarką, ustawiać pod słońce tak, żeby szkła były nieprzezroczyste. Nie lubiła ludzi, którym coś było,